

Konrad Turzyński

Kujawy przeciw Pomorzu?

Czy raczej ignorancja przeciwko zdrowemu rozsądkowi?

Jestem – tak jak wielu mieszkańców Torunia i województwa toruńskiego – zdumiony i zdegustowany tym, że w Sejmie 18 lipca zaprojektowano województwo wschodnio-pomorskie w kształcie terytorialnym NIE obejmującym obecnego województwa toruńskiego (a dokładniej: Ziemi Chełmińskiej i Ziemi Michałowskiej) oraz leżących na Pomorzu przyszłych powiatów: chojnickiego, tucholskiego i świeckiego. Zamiast naprawić niedawny błąd Senatu polegający na tym, że z projektu rozważanego na krótko przed obradami tej izby Zgromadzenia Narodowego wykrojono większość powiatów świeckiego i tucholskiego, by pozostawić je w dziwolągu terytorialnym i nazewniczym pt. „region kujawsko-pomorski”,

Zamiar pozostawienia ich w województwie obejmującym Kujawy i mającym mieć stolicę w Bydgoszczy jest – jak przypuszczam – pozostałością po myśleniu zakładającym celowość istnienia województwa łączącego w sobie całość Kujaw i niewielki fragment Pomorza. Ten fragment Pomorza – nawet po powiększeniu go o te obszary, które dopisał przysłemu województwu bydgoskiemu Sejm w głosowaniu z 18 lipca – byłby niewielką mniejszością w całości tak pomyślanego województwa, natomiast ten sam fragment Pomorza w stosunku do całości Pomorza Wschodniego (już nie wspominając o CAŁYM Pomorzu w ogóle!) to znikomy kawałek! W takiej sytuacji używanie przymiotnika „pomorskie” w nazwie województwa ze stolicą w kujawskiej Bydgoszczy to NADużycie zakrawające wręcz na skandal! I dlaczego w takim razie pomorska Tuchola (wraz ze swoim powiatem) miałaby być jedynym powodem do NADużywania słowa „pomorski” w nazwie województwa mającego stolicę w Bydgoszczy? Świadczy o tym uporczywe trzymanie się nazwy „Kujawy i Pomorze” (także w wersji: „region kujawsko-pomorski”). Istnienie województwa nazywanego „kujawsko-pomorskim” ma sens tylko w jednym przypadku: gdyby sięgało od Włocławka i południowych rubieży Kujaw począwszy aż po wybrzeże gdańskie i Hel. (Może na podobnej zasadzie miałoby sens powołanie województwa „lubusko-pomorskiego” ze stolicą w Szczecinie albo „lubusko-śląskiego” ze stolicą we Wrocławiu, gdyby Ziemia Lubuska nie miała albo nie chciałaby za nic być w składzie Wielkopolski?)

* * *

Nazewnictwo upowszechniane przez wiele lat w środkach społecznego przekazu i utrwalone (niestety) w świadomości wielu Polaków, powstało w czasie, gdy PRL była podzielona na 17 województw. To wtedy wymyślono takiego rodzaju nazwy, które miały sprawiać wrażenie, że nawiązuje się do historycznych nazw różnych części Polski, ale które to nazwy zostały zarazem SZTUCZNIE przykrojone do owego podziału na 17 województw. I tak ówczesne (tj. przed 1975 rokiem) woj. olsztyńskie musiało być nazywane „Warmią i Mazurami”, ówczesne woj. zielonogórskie – „Ziemią Lubuską”, ówczesne woj. koszalińskie – „Pomorzem Środkowym”, a ówczesne woj. bydgoskie – „Kujawami i Pomorzem” właśnie.

I nie miało tu znaczenia to, że np. dzieje Pomorza dowodnie pokazują, iż uzasadnione jest wyodrębnianie nie JEDNEGO (jak mniemał błędnie – zasłużony dla tej krainy! – ś. p. Lech Bądkowski) Pomorza, lecz dwojga, ale NIE tych ze stolicami w Bydgoszczy i Koszalinie, lecz Wschodniego – ze stolicą w Gdańsku i Zachodniego – ze stolicą w Szczecinie (w pierwszych latach po II wojnie światowej nie było pomiędzy gdańskim a szczecińskim żadnego innego – trzeciego ani tym bardziej czwartego – województwa...). Ani też to, że Warmia i Mazury to dwie odmienne krainy, różniące się swoimi dziejami, wyznaniem i gwarą – tu szczególnym *curiosum* jest fakt, że z tak używanej podwójnej nazwy ktoś nieorientowany mógłby warmińskie miasto Olsztyn uważać mylnie (zamiast Elku!) za stolicę Mazur...

(Osobną, bardziej godną ubolewania sprawą jest okoliczność, że sposób, w jaki tzw. „władza ludowa” przywracała do Macierzy nasze Ziemie Odzyskane, sprawił, iż większość Warmiaków i Mazurów – podobnie jak chyba wszyscy, nieliczni już, Słowińcy a także niemala część Kaszubów i zwłaszcza Ślżaków – została przesiedlona albo później wyjechała do zachodnich Niemiec, nawet dość skwapliwie zabiegając potem o asymilację w tamtym społeczeństwie, co z traktowania w PRL Polaków-autochtonów jako rzekomych Niemców uczyniło samosprawdzającą się przepowiednię...)

Ani nie liczyło się to, że stolicą Ziemi Lubuskiej nie była nigdy dolnośląska Zielona Góra, lecz Lubusz, miasto leżące tuż przy obecnej granicy państwowej, ale (niestety) po... jej nie polskiej stronie. (Skłonność do utożsamiania woj. zielonogórskiego z Ziemią Lubuską przetrwała nawet Gierkowską reformę z 1975 r., co było jeszcze większym dziwologiem, gdyż z obszarem dawnej Ziemi Lubuskiej znacznie więcej wspólnego ma powstałe wtedy woj. gorzowskie – i to pomimo faktu, że w nazwie stolicy tego województwa znajduje się przymiotnik „Wielkopolski”. W przypadku obszaru poprzedniego woj. bydgoskiego (który niemal dokładnie pokrywa się z połączonymi obszarami obecnych trzech województw: bydgoskiego, toruńskiego i włocławskiego) nadal „obowiązywała” pseudo-nazwa „Kujawy i Pomorze”.

O sztuczności owych nazw świadczy także przykład dotyczący województw takich jak: łódzkie, radomskie i toruńskie. Podobnie jak np. modne ok. 1980 r. wyrażenie „w temacie” prześlizgnęło się z żargonu urzędników i dziennikarzy do żargonu środowisk „solidarnościowych”, tak również oderwanie od rzeczywistej wiedzy o geografii historycznej Polski zostało przejęte przez działaczy związkowych w „Solidarności”. Dlatego nie tylko nazwano jeden z jej regionów „Pomorzem Zachodnim” (ale żaden inny nie miał w swojej nazwie słowa „Pomorze” – dlaczego?), bez ceregieli wymyślono „Ziemie Łódzką” i „Ziemie Radomską” – nazwy nie mające żadnego uzasadnienia w historii (widocznie chodziło TYLKO o to, by coś nazywało się „nobliwie”), ale jedyny chyba region NSZZ „Solidarność” (i zarazem bodajże jedyne województwo) o obszarze pokrywającym się niemal dokładnie z jedną z rzeczywiście obecnych na mapach dawnej Polski „ziem” – takiej nazwy NIE otrzymał! Chodzi oczywiście o region toruński, terytorialnie identyczny z województwem toruńskim – znaczną większość jego obszaru stanowi Ziemia Chełmińska, leżąca między Wisłą, Drwęcą i Osą, a prawie cała reszta to Ziemia Michałowska leżąca na północnym wschodzie województwa. (To niedopatrzenie w wynajdywaniu nazw budziło nieusuwalne zdumienie u wyżej wspomnianego pomorskiego pisarza, Lecha Bądkowskiego, który pochodził właśnie z Ziemi Chełmińskiej, chociaż przez całe powojenne życie był związany z Gdańskiem.)

* * *

Najnowsza decyzje Senatu i Sejmu także w dziedzinie nazw powiększyła zakres dziwologów: „Małopolskę Wschodnią” przemianowano na „Podkarpacie” (tak, jak gdyby ta sama nazwa nie pasowała do „Małopolski Zachodniej” ze stolicą w Krakowie! – skoro zda niem marszałka Borowskiego taka nazwa ma odróżnić to województwo od „małopolskiego”, to dlaczegożby nie nazwać go na przykład „małoruskim?”), a „Pomorze Wschodnie” nie ma nazywać się „Nadwiślańskim”, lecz po prostu „Pomorzem”. To tak, jak gdyby dzisiejsza Polska nie obejmowała Pomorza Zachodniego („Nadodrzańskiego” – a raczej jego znacznej części). Można było rozumieć taką nazwę w czasie II Rzeczypospolitej, która nawet Pomorza Wschodniego nie posiadała w całości, ale przecież nie teraz! Zupełnie jak z nazwami „Małopolska” i „Małopolska Wschodnia”.

Takie pretensjonalne dziwolągi nazewnicze wykipił znany geograf, Andrzej Piskozub, profesor Uniwersytetu Gdańskiego, który już w latach siedemdziesiątych był autorem takich bardzo ciekawych książek jak: „*Gniazdo Orła Białego*”, „*Kształty polskiej przestrzeni*” i „*Polska – kierunek 2000*”. O zmianie podziału administracyjnego dokonanej w 1975 r. wypowiedział się wtedy z aprobatą. Jako jedną z zalet nowej siatki województw wskazał to, że – jego zdaniem – już żaden kawałek granic między zaborami nie został powtórzony w postaci granicy między nowymi 49 województwami. Niemniej jednak wskazywał także na to, że realna hierarchia struktur terytorialnych ma więcej niż dwa albo nawet niż trzy szczeble – dopatrywał się ich (na przykładzie Francji, o ile pamiętam) wręcz sześciu! Skrytykował tam też ideę „jednego Pomorza” głoszoną przez Bądkowskiego, ale zarazem – odmówił racji mówieniu o jakimś „Pomorzu Środkowym” (dawne Księstwo Sławieńsko-Słupskie było w tysiącletnich dziejach naszego kraju prawie tak samo efemeryczne, jak XX-wieczne woj. koszalińskie, które jest nawet młodsze od tzw. „Polski Ludowej”, która zaczęła od zaledwie dziesięciu – *sic!* – województw).

Używanie nazw sztucznie wymyślonych i sugerujących realne istnienie pewnych więzi wspólnotowych, podczas gdy granice województwa albo powiatu wytyczył urzędnik w czasach, gdy o szerokich „konsultacjach społecznych” mówiło się, owszem, ale tylko się mówiło, to widocznie jakiś zabieg magiczny. W końcu np. urzędnik, w ślad za nim dziennikarz, a w ślad za dziennikarzem liczni czytelnicy, radiosłuchacze i telewizorzy, zaczynają wierzyć w istnienie czegoś, co istniało na papierze. I uwierzono np. w jakieś mityczne „Kujawy i Pomorze”. Przepraszam: Kujawy istnieją naprawdę, Pomorze – również. Ale „Kujawy i Pomorze”, a zwłaszcza ich jedność, to fikcja! Od lat regularnie przeczyła jej wzajemna niechęć mieszkańców Bydgoszczy i Torunia, zwłaszcza może – (pseudo)kibiców z obu miast. Nie umniejsza tej niechęci fakt, że codziennie wielu uczniów, studentów, pracowników, pacjentów i może także... zakochanych podróżuje między tymi miastami. Zapewne oddzielenie Torunia i Bydgoszczy granicą województw 23 lata temu nie miało też wpływu na te podróże. Jednak owa granica jeszcze niedawno nikomu nie wadziła.

Nikt nie wylewał krokodylich łez nad tym, że z woli I sekretarza Edwarda Gierka „Kujawy i Pomorze” są rozdarte między różne województwa. I oto jesteśmy świadkami, jak z wytrwałością i emocjami godnymi lepszej sprawy przystąpiono do obrony jedności „Pomorza i Kujaw”. Szczególnie gorliwie działa w tej sprawie „Gazeta Pomorska”, która jest tak bardzo „pomorska”, że pewnie nie dałoby się jej kupić w Choszcznie, Ustce ani Tczewie. Również daremnym byłoby szukać w niej programu kin z tych miast albo wiadomości o ciekącej rynnicy w Stargardzie Szczecińskim i o odnalezionym portfelu w Starogardzie Gdańskim. O ile wiem, to o noszącym od kilku lat podobnie ambitną nazwę Radiu PiK (oczywiście: „Pomorza i Kujaw”), można powiedzieć podobnie. Trzy lata temu sprawdziłem jego zasięg: można je odbierać na północy Kociewia, ale w Gdańsku już nie.

* * *

Nie mam nic przeciw temu, by Kujawy zrosły się z powrotem w jedną całość. Mają do tego prawo tym bardziej, że przez wiek były przedzielone granicą nie międzywojewódzką, lecz między-zaborową. Ale jestem przeciwny temu, aby w imię jedności Kujaw, które miałyby mieć znowu swoją stolicę w kujawskim mieście Bydgoszcz, ktoś dzielił Pomorze DROBNIEJ niż tylko na Wschodnie i Zachodnie. A jeszcze bardziej nie podoba mi się to, że podzielone miałyby być (tak jak jest nieprzerwanie od 1945 r.!) moje rodzinne Kociewie! Nie tylko Kaszuby mają prawo do tego, by odzyskać jedność (i dlatego przyszły powiat bytowski, od wschodniej części Kaszub oddzielony kordonem w latach międzywojennych, będzie za pewne częścią przyszłego województwa gdańskiego). Także Kociewie nie jest gorsze: dlaczego powiat świecki ma być stale podporządkowany innemu województwu niż powiaty starogardzki i tczewski? Kaprys historii (prawo kaduka – ?) sprawił, że po II wojnie światowej przejściowo nazwę województwa „pomorskiego” (nie: „kujawsko-pomorskiego”!) nosiło owo duże woj. bydgoskie, obejmujące swoim zasięgiem całość Kujaw.

Ale może już dość pretendowania do nazwy innej dzielniczycy kraju? Niechże Bydgoszcz weźmie pod opiekę kujawskie gminy województw: włocławskiego, toruńskiego i konińskiego, ale niech zarazem

wreszcie przestanie pretendować do „pomorskości” i władać kawałkiem ziem pomorskich, bo „region kujawskopomorski” (właśnie: dlaczego „region”, a nie województwo?) to podobny dziwoląg, jak gdyby Słowacja upierała się, by wspólnie z Morawami tworzyć „Państwo Słowacko-Czeskie”, nie dbając o pozostałych Czechów. A zresztą – dlaczego stolicą Kujaw musiałaby być Bydgoszcz? Może bardziej sławny Ciechocinek – chciałoby się dodać: jeszcze sławniejszy Przysiek, ale to już Ziemia Chełmińska... Bardziej na serio: w historii Polski dość długo istniało województwo inowrocławskie, do którego należała przynajmniej znaczna część Kujaw, a na pewno – Bydgoszcz. Pod względem nazwy – i także nowego znaczenia przydanego przez budowany właśnie maszt radiowy – na stolicę Kujaw najbardziej pasowałby Solec Kujawski...) Czy jednak – choćby ze względu na wielowiekowe związki Kujaw z Wielkopolską (wspomnijmy tylko na znaczenie kujawskiej Kruszwicy i wielkopolskiego Gniezna w początkach Państwa Polan, polegające przecież nie tylko na legendarnych opowieściach o Popiele i Piaście...) – nie byłoby najsluszniej umieścić całych Kujaw w granicach województwa mającego stolicę w Poznaniu? To samo dotyczy Ziemi Lubuskiej (nawet bez względu na przebieg granic województwa, które miałyby zostać tak nazwane...).

Argument o lepszej obronie zachodnich ziem Polski przed gospodarczym naciskiem ze strony Niemiec nie wytrzymuje krytyki! Jest wręcz PRZECIWNIE, niż głoszą orędownicy umieszczenia wzdłuż Odry i Nisy większej (zamiast mniejszej) liczby województw: i wobec Niemiec jako całości, i wobec niemieckich „Landów” łatwiejszą „pozycję przetargową” mogą mieć terytorialnie, ludnościowo i gospodarczo duże organizmy takie jak Pomorze Zachodnie, Wielkopolska i Dolny Śląsk, a nie karłowate twory utworzone albo powielone po PRL-owskich podziałach terytorialnych – jak woj. zielonogórskie (dawniejsze i obecne), woj. Gorzowskie (obecne) i tzw. „Ziemia Lubuska” (projektowana), która jeszcze niedawno – widowiskowo – jakoby „kocha[ła] premiera Buzka”... Czyżby ową pozornie „antyniemiecką” argumentację za utrzymaniem rozdrobnienia wzdłuż granicy z gospodarczym mocarstwem wymyślili i popierają politycy będący „agentami wpływu” np. premiera Brandenburgii, albo jakiegoś niemieckiego koncernu? Albo konie trojańskie obozu po-PRL-owskiego? (O nich jeszcze będzie poniżej...) A może właśnie o to chodzi? Skoro już (a raczej – jeszcze) Niemcy władają stolicą Ziemi Lubuskiej, to niezbyt trudne będzie dla nich ponowne zawładnięcie prawobrzeżną częścią tej krainy? Przypomina się wizja sprzedania Niemcom woj. zielonogórskiego negocjowana w cieniu hucznych obchodów L-lecia PRL – wizja malowniczo przedstawiona w „*Malej Apokalipsie*” Tadeusza Konwickiego.)

To nie jest tak, że Toruń, Świecie, Tczew, Gdynia i Hel należały do JEDNEGO województwa o nazwie „POMORSKIE” (stolicą jego w latach 1920-39 był Toruń, ale TYLKO dlatego, że nie zdołaliśmy po I wojnie światowej odzyskać Gdańska). Ani nie jest tak, że sięganie dalej w przeszłość to odnajdywanie wspólnoty tego obszaru w postaci ustanowionej przez zaborcę prowincji „Prusy Zachodnie” albo jeszcze dawniej – w postaci ucisku krzyżackiego w XIV i XV wieku. Mapy (wydrukowane 20 lat temu, a więc w czasie, gdy prof. Kulesza popierał 49 województw, czyli – nie podejrzane o stronniczość wobec tej dyskusji!) pokazują, że w różnych epokach historycznych – także już w tych przedkrzyżackich (wbrew obecnej propagandzie komunistycznych demagogów!) – istniały więzi gospodarcze, administracyjne i kościelne łączące całość Pomorza Wschodniego.

Miarą paradoksalności trzeciego (pierwsze było w 1945 r., drugie – w 1975 r.) usankcjonowania podziału Kociewia i całego Pomorza Wschodniego pomiędzy województwa: gdańskie i bydgoskie jest fakt, że właśnie w bieżącym roku przypada okrągły jubileusz najdawniejszej daty w pisanych dziejach miast takich jak Świecie, Starogard Gdański i Skarszewy: chodzi o dokument nadania tych (i innych) miast zakonowi joannitów wydany przez księcia pomorskiego Grzymisława w dniu 11 listopada 1198 r., co z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem hucznie świętowano w owych miastach...

Nawet okrutny okupant krzyżacki nienajgorzej uszanował wewnętrzne podziały administracyjne na obszarze zagarniętego w latach 1308-09 Księstwa Gdańskiego, tak więc, gdy Polska wreszcie po II pokoju toruńskim w 1466 r. odzyskała ten obszar, ustanowiła powiaty (a w szczególności: chojnicki, tucholski i świecki) na obszarze krzyżackich komturstw naśladując tym samym pierwotny, słowiański porządek terytorialny na Pomorzu Wschodnim. Także zresztą powojenne (mam na myśli kolejno dwie wojny światowe), gospodarcze i komunikacyjne, więzi obszaru Ziemi Chełmińskiej (szczególnie

Torunia i Grudziądz) z Gdańskiem, Trójmiastem oraz woj. gdańskim w jego dotychczasowych kształtach przemawiają za ustanowieniem Pomorza Nadwiślańskiego – takiego, jakie przewidywano w rządowym projekcie podziału na 12 województw (a tylko z pominięciem Kujaw).

Jeszcze w zimie na wiecu w Bydgoszczy pan/**towarzysz** poseł Gruszka wznosił frenetyczny, przeciągły okrzyk „nigdy 12, tylko 17!”. Walka pani/**towarzyszki** senator Kempki o „odzyskanie” (dla „Kujaw i Pomorza”, ma się rozumieć) nie tylko gmin Dragacz, Warlubie i Nowe, ale także obszaru całego przyszłego powiatu chojnickiego, zdaje się zakładać typowy dla po-**PRL**-owskiego sposobu myślenia pogląd, że historycznymi więziami terytorialnymi łączącymi jakoby Toruń z Bydgoszczą są tylko te, które powstały w „**Polsce Ludowej**”. Zdaniem takich polityków (i także zwykłych obywateli podtrzymujących ten pogląd) widocznie historia Polski zaczęła się w 1945 roku. Dziwnie to przypomina edukację w Chinach podczas **maoistowskiej „rewolucji kulturalnej”**, kiedy to nauczanie historii obejmowało tylko czas od 1914 r. W kraju, który liczy swoją historię na tysiące lat jak rzadko który! Naprawdę demagogią, obłudą, nieuczciwością intelektualną jest twierdzenie, że więzi Torunia z Gdańskiem mają swą genezę w ekspansji Zakonu Krzyżackiego! Nie dość tego! Tuż przed niedawnym fatalnym głosowaniem w Sejmie politycy **PSL** odgrążali się, że skierują do Trybunału Konstytucyjnego ustawę o ustanowieniu 16 województw, jeżeli Toruń nie zostanie znowu podporządkowany Bydgoszczy. W imię „niezrywania więzi”, rzecz jasna...

Teraz tylko patrzeć, gdy ktoś ośmielony tym precedensem „myślenia” spróbuje wykorzystać taką samą motywację do tego, by oderwać zachodnią część Kaszub (m. in. przyszły pow. bytowski) od Pomorza Wschodniego i wcielić ją do ukochanego dziecięcia Ojca Narodu – mowa o tzw. „Pomorzu Środkowym”, z którego wywodzi się obecny prezydent, pan/**towarzysz** Kwaśniewski. Szlak jego niedawnych „gospodarskich wizyt” wyraźnie wskazuje na kolejność **PRL**-owskiej rekonkwisty: „*Nie ma ojczyzny bez kielecczyny, ... »bydgoszczyny«, ... »koszalińszczyzny«!*”

No, bo skoro TK może zakwestionować ustawę, to także – ilość województw! A to, że koalicja rządowa uzgodniła z komunistami „kompromis” określony liczbą „16”, to nie! Przecież już jeden kompromis („między 12 a 17”) został złamany przez *veto* **SLD**-owskiego prezydenta – właśnie w imię „17”. Ni z gruszki, ni z pietruszki! (*Nomen omen?*) Dostali palec, więc sięgnęli po całą rękę.

Przez cztery lata swoich niedawnych rządów – do ubiegłorocznej kampanii wyborczej włącznie! – głosili z powagą, że województw powinno być możliwie jak najmniej, najlepiej – dwanaście. Kiedy tę liczbę podjął nowy rząd, od razu okazała się złą. (Zupełnie jak budżet przygotowany przez ministra Belkę, gdy tylko poparł go w Sejmie min. Balcerowicz! I jak zboże sprowadzone zza granicy decyzją rządu Cimoszewicza, za którą to decyzję polityczne „frycowe” płaci rząd Buzka.) Ale jeszcze zanim koalicja rządowa wniosła do Senatu o zmianę świeżo i z niemałym trudem wywalczonej w Sejmie „dwunastki” na „piętnastkę”, czym prędzej wycofali wszystkie swoje projekty poprawek opiewające na liczby mniejsze od siedemnastu.

I chociaż w obozie stanowiącym poprzednią koalicję dwa ugrupowania konkurują ze sobą prezentując dwa różne modele nawiązania do **PRL**-owskiej wojewódzkości, to jednak w pomysły 12 i 15 województw biją solidarnie! Byleby ludzie **PRL** wyszli na „cacy”, a ludzie Sierpnia na „be”! Wreszcie zerwali w trakcie głosowania dopiero co osiągnięte porozumienie z **AWS** i **UW** o nietykaniu granic województw nie sąsiadujących z projektowanym w kompromisowej „16” województwem „staropolskim”.

* * *

Ile jeszcze umów z komunistami trzeba zawrzeć, aby przekonać się, że żaden kompromis z nimi nie jest warty papieru, na którym go spisano? Słyszałem dziś w Radiu Toruń głos oburzonej torunianki – przecież wyborczyni posła Wenderlicha z **SLD**! – która była rozczarowana jego poparciem dla ponownego przypisania obecnego woj. toruńskiego do województwa ze stolicą w Bydgoszczy. Skoro tacy ludzie jak owa **SLD**-owska wyborczyni są rozczarowani i nie przemawiają do nich argumenty takie jak przedstawione przez pos. Wenderlicha, to jak bardzo „prostoduszni” muszą być tacy

wytrawni politycy jak przewodniczący Krzaklewski i premier Buzek? Jak długo można cierpliwie słuchać takich wstępow „myśli” jak sugestie (wygłaszane nawet z parlamentarnej trybuny), jakoby pomysł włączenia Ziemi Chełmińskiej i Ziemi Michałowskiej do województwa wschodniopomorskiego był efektem... zmyślenia marszałków: p. Grześkowiakowej i p. Płażyńskiego? Przecież taki „argument” nawet na polemikę nie zasługuje!!

Pan/**towarzysz** Gruszka oburzał się na p. pos. Wyrowińskiego, że jak on może mówić, iż mieszkańcy toruńskiego domagają się włączenia do woj. gdańskiego, skoro sam zebrał znacznie mniej głosów w wyborach niż on, p./**tow.** Gruszka... Nic to, że zdanie pos. Wyrowińskiego zostało poparte ogromną większością głosów we wszelkich sondażach oraz decyzjami organów władz samorządowych w licznych gminach i miastach województwa... Nic to nawet, że za odnowieniem wielowiekowych więzów Torunia z Gdańskiem opowiedziała się elita intelektualna miasta, profesorowie i inni pracownicy UMK – reprezentujący różne – humanistyczne i ścisłe – dyscypliny, i to niezależnie od tego, czy pochodzili z Pomorza, czy z okolic odległych odcin.

Rozumieją to nawet przybysze z dawniejszych i nowszych Kresów Wschodnich, ale nie rozumieją powołujący się na „lud” (i jakoby wyrastający z ludu, rzekomo czujący jego potrzeby) działacze – pożałujcie, Boże! – „ludowi”, których świadomość obywatelska nie przewyższa discopolowego hasła: „wszyscy Polacy to jedna rodzina!”. Twardo donikąd w **bolszewickiej**, populistycznej demagogii wiecowych krzykaczy! Byleby nadal Discopolacy mogli „budować” swoją Discopolonię o rodowodzie nie sięgającym przed 1945 rok... Panu/**towarzyszowi** Lewandowskiemu z **PPS** (czytaj: **SLD**) nic nie przeszkodziło w powiedzeniu (w telewizyjnych „**Wiadomościach**” z 19 lipca), że „*nie ma Kujaw i Pomorza bez Torunia*”. Owszem, nie ma Pomorza bez Torunia! Ale Kujawy bez Torunia to po prostu to samo co np. Podlasie bez Leszna.

To jest właśnie obraz stosunku „socjaldemokracji” do demokracji. Gdyby rady miejskie i gminne masowo uchwały rezolucje za przywróceniem dnia świątecznego **22 lipca** (= rocznica zawiazania Konfederacji Targowickiej w 1792 r. – to dla przypomnienia), p./**tow.** Sierakowska piałaby z zachwytem! Gdyby profesorowie jakiegoś uniwersytetu (choćby nawet tego w Toruniu) uchwalili rezolucję na rzecz niekaralności tak zwanego przerywania ciąży i zapoczątkowali publiczną zbiórkę podpisów pod tymże tekstem, to p./**tow.** Labudowa nie posiadałaby się chyba ze szczęścia!! Ale gdy to jest nie po myśli po-**PRL**-owców (**Czerwonych**, a choćby tylko **Zielonych**), to – aj-waj...

Owszem, są także ludzie – zupełnie zwyczajni śmiertelnicy – którzy za swój uznają punkt widzenia lansowany np. przez tak zwany **Ruch Społeczny „Region”**. Spotykam takowych wcale nie rzadko. Opowiadają się za przywróceniem województw i powiatów sprzed 1975 r. albo pozostawieniem obecnego podziału administracyjnego, bo (najczęściej) innej Polski (niż „**Ludowa**”) nie pamiętają.

Wobec pomysłu przyłączenia obecnego woj. toruńskiego do dużego województwa ze stolicą w Gdańsku są niechętni, bo – ich zdaniem – „Gdańsk jest żądny władzy i pieniędzy”. Niechęć (podobnie właśnie uzasadniana) do tej metropolii u ludzi tak rozumujących ujawniła się już kilka lat temu, gdy Kościół Katolicki reformując swoją strukturę terytorialną ustanowił Archidiecezję Gdańską i włączył do niej m. in. Diecezję Toruńską. Gdyby jednak w owej czarnej legendzie Gdańska była choćby krzta prawdy, to znalazłaby się bodaj jedna gmina, znalazłaby się może nawet jeden przyszły powiat, który miałby tendencję odśrodkową: należąc do dotychczasowego albo wcześniejszego woj. gdańskiego starałby się o zmianę tej przynależności na nowej mapie wojewódzkiej. Jednak to właśnie ani Kościerzyna nie tęskni za „Pomorzem Środkowym”, ani Malbork – za „Warmią i Mazurami” (bo przecież NIE „krzyżackie” tradycje mają tu znaczenie, lecz polskie!), ani Starogard Gdański nie marzy o przejściu do „Kujaw i Pomorza”. Wręcz przeciwnie, oprócz Ziemi Chełmińskiej i Michałowskiej można wskazać inne przykłady dokładnie odwrotne: kaszubskie powiaty bytowski i lęborski nie życzą sobie przynależności innej niż do Gdańska, a nawet w warmińskim (!) Elblągu nastąpiło rozczarowanie, gdy w ramach rządowego projektu „12” pierwotna wersja „Elbląg do Gdańska” została zmieniona na „Elbląg do Olsztyna”.

Owszem, wśród owych śmiertelników można nawet usłyszeć dwa argumenty za wznowieniem podporządkowania Torunia ośrodkowi bydgoskiemu. Jeden to odległość (ale nie pamiętają, albo nie obchodzi ich to, że np. Jastarnia miała do Urzędu Wojewódzkiego w międzywojennym Toruniu znacznie dalej, niż obecnie Brodnica do Gdańska – skoro przecież pociąg, autobus, samochód, dalekopis, telefon, telefax – że już nie wspomnę o modemie komputerowym! – to dziś o wiele mniej luksusowe i o wiele bardziej sprawne wynalazki niż siedemdziesiąt lat temu na przykład). Drugi argument to fakt, że posiadawszy znajomości w bydgoskim Urzędzie Wojewódzkim albo w innej instytucji o zasięgu wojewódzkim, zaistniałej w tym mieście w pierwszym 30-leciu tzw. „Polski Ludowej”, trzeba by w przyszłości zapomnieć już o nich „na amen” i wydeptywać nowe ścieżki w nie znanym Gdańsku (ale tego właśnie żaden byłby PZPR-owski ani ZSL-owski aktywista za nich nie powie publicznie, bo... mu nie wypada czegoś takiego przyznawać ani nawet sugerować – przecież w konstytucji wyczelowanej przez aktualną głowę państwa jest napisane czarno na białym, że RP to „państwo prawa”!).

Jak wiadomo, ignorancja polega na tym, że albo nie wie się tego, co powinno się wiedzieć, albo przynajmniej udaje się taką niewiedzę. I na takiej, własnej i cudzej ignorancji bazuje arogancja po-PRL-owskich demagogów. Jak długo jeszcze? Otóż tak długo, jak długo będą w naszym kraju ludzie, którzy „wołą nie wiedzieć”. Dla nich to, co było nie w 1955 r., lecz na przykład w 1655 r., to „dawno i nieprawda”. A nawet gorzej: „dawno i DLATEGO nieprawda”. Moim zdaniem owa niechęć do Gdańska jest regionalnym wariantem hasła „komuno, wróć!”. Niechęć do Gdańska jest sposobem okazywania niechęci do zmian zapoczątkowanych w latach osiemdziesiątych, a kojarzonych – bardziej albo mniej trafnie – ze „Solidarnością”, w szczególności może z przewodniczącym a następnie prezydentem Wałęsą. W takiej „optyce” nawet najbardziej nieprzejednany krytyk p. Wałęsy, p. Andrzej Gwiazda, na domiar złego też mieszkający w Gdańsku, w oczach niejednego „prostego człowieka” jest – tak samo jak na przykład b. premier Bielecki i b. premier Suchocka! – współwinny bezrobocia i wszystkich innych utrapień. No, ale w takich klinicznych – a raczej nieuleczalnych, beznadziejnych – wypadkach jedynym wiarygodnym krytykiem b. prezydenta jest p./tow. Urban...

Reforma samorządowa budzi także we mnie mieszane uczucia (takie same budziłaby jednak, gdyby rozpoczął ją jeden z rządów SLD/PSL). Chociaż myśl o przywróceniu powiatów nie jest mi niemiłą (wręcz przeciwnie!), nie zostałem przekonany, że jest to tak niezbędnym warunkiem innych potrzebnych reform, iż musi być dokonane już teraz. Można było poczekać z tym nawet kilkanaście lat! Poważnie obawiam się, że koszty utrzymywania administracji publicznej po takiej reformie będą większe (zamiast się zmniejszyć), i to pomimo faktu, że szczebel powiatowy tak naprawdę nie przestał istnieć w Polsce, a tylko zakamuflował się pod inną nazwą (= rejonów). Wreszcie – dyskusja o tym, ile ma być województw i jakie mają być ich granice (typowy konflikt zastępczy!), przesłoniła o wiele ważniejszą sprawę: jakie mają być kompetencje poszczególnych trzech szczebli samorządu (na ile dokładnie opisane i na ile trafnie rozdzielone)! Jednak wobec potencjału ignorancji i arogancji czasami nie potrafię zdzierżyć...

* * *

Przy okazji: w projekcie podziału na 12 a potem na 15 województw też widzę dziwolagi, a przynajmniej rażące niekonsekwencje nazewnicze. (O przebiegu granic między innymi województwami wolę nie wypowiadać się zbyt stanowczo, bo za mało znam inne okolice Polski.) Jeśli jedno Pomorze jest „Zachodnie”, to niechże to drugie będzie „Wschodnie”, albo – jeśli ma być od rzek – „Nadodrzańskie” i „Nadwiślańskie” (mogłoby też być po prostu „szczecińskie” i „gdańskie”). Skoro Śląsk wokół Wrocławia jest „Dolny”, to dlaczego nie ma „Górnego”? Czyżby dlatego że w nazewnictwie regionów „Solidarności” popełniono to samo niedopatrzenie? Jeżeli jedna Małopolska jest „Wschodnia”, to czemu ta pozostała nie nazywa się „Zachodnia”? (nawiasem pisząc: wg prof. Piskozuba tam należałoby wyróżnić TRZY części składowe: Ziemię Krakowską, Ziemię Sandomierską i Ziemię Przemyśką.) Może woj. białostockie powinno nazywać się „Podlasiem”? Ale może najlepiej byłoby powrócić do nazw województw utworzonych od ich stolic, skoro nie dla wszystkich 12 (15) województw udało się jednolicie urobić nazwy naśladujące nazwy historycznych dzielnic Polski?

A skoro już jestem przy nazewnictwie: dlaczego organy władzy prawodawczej w jednostkach samorządu miejscowego nie mogą jednolicie nazywać się „radami”? Dlaczego mają być rady miejskie, gminne i powiatowe, ale nie wojewódzkie? Skąd taka pobrzmiewająca kolokwialnością – a przy tym długa i dlatego niewygodna w użyciu – nazwa jak „sejmik samorządowy”? Jak będzie się nazywać obywatela wybranego w skład takiego organu? Skoro nie „radnym” to może zdrobnieniem od słowa „poseł”? „Posełek”? Wolne żarty! No, bo „członek sejmiku samorządowego” to brzmi już zupełnie jak jakiś potworek językowy.

Jedyna szansa na polepszenie tej sytuacji to mądre i męskie zachowanie się Senatu. Ze względu na jego skład polityczny to (przynajmniej teoretycznie) powinno być łatwiejsze niż wśród posłów... To powinno polegać na zapobieżeniu nowym błędom i na naprawieniu tych, które powstały przez niesamowity sukces odniesiony w sobotę w Sejmie przez zieloną ignorancję i czerwoną arogancję. No, a potem – obrona przed dalszymi „kompromisowymi” poczynaniami prezydenta owej pożądanej słusznej decyzji Senatu w Sejmie, w którym już nawet raz (gdy uchwalono „12”) potrafią zneutralizować nie tylko czerwono-zieloną Discopolonię, ale nawet jej koni trojańskich działających pod całkiem przeciwnymi (wobec PRL) sztyldami – nierzadko nawet „arcykatolickimi” i „arcy-narodowymi” (to gwoli przypomnienia, na czym może polegać bycie „koniem trojańskim” – swoją drogą „EGZOTYCZNY” to sojusz: „czerwono-zielono-czarny”...). Czas nagli!

Toruń, 19 lipca 1998 r.